

„MALGRÉ-NOUS” - ŻOŁNIERZE MIMO WOLI

Oradour

Oradour-sur-Glane to niewielka miejscowość w środkowej Francji. Już sama jej nazwa ma dla francuskiej refleksji nad wojną znaczenie symboliczne. 10 czerwca 1944 r. oddziały niemieckiej dywizji SS „Das Reich” zamordowały tu ponad 600 mieszkańców i spaliły wszystkie zabudowania. Po wojnie nazwa Oradour wróciła do Francuzów raz jeszcze w nowym, dramatycznym kontekście. Oto okazało się, że w zbrodniczych oddziałach służyło 14 młodych Alzatzczyków. Wytoczono im proces w Bordeaux, który zakończył się w roku 1953 wyrokiem śmierci dla sierżanta-ochotnika i skazaniem pozostałych trzynastu na ciężkie roboty. W całej Alzacji i Lotaryngii zawrzało jednak od protestów. Przecież tysiące młodych Francuzów z Alzacji powołano w 1942 r. przymusowo do Wehrmachtu, nawet do Waffen SS. Czy i oni staną przed sądem!? Po wojnie znosili upokorzenia, dla dużej części Francuzów byli zdrajcami. Sprawa Oradour wyostrzyła ten osąd, jednocześnie jednak pozwoliła Francuzom przeżyć w zbiorowej świadomości to, z czym Polacy się mocują do dziś, bo w warunkach państwa komunistycznego jasne postawienie sprawy nie było możliwe. Dla zrozumienia tragicznej sytuacji młodych Pomorzan, Wielkopolan czy Ślązaków, zmuszonych podczas wojny do służby w Wehrmachcie, takie porównanie z losem Alzatzczyków i Lotaryńczyków może być pouczające.

Protesty z roku 1953 doprowadziły do ogłoszenia pospiesznej amnestii dla skazanych. Sprawa nie była łatwa, bo amnestia wywołała z kolei oburzenie bliskich ofiar z Oradour i niechęć do Alzatzczyków, która przetrwała następne kilkadziesiąt lat. Do symbolicznego pojednania i wybaczenia doszło dopiero w roku 1998!

Paradoksy historii

W Strasburgu stoi jedyny w swoim rodzaju pomnik Matki Alzacki, która trzyma na kolanach dwóch martwych synów. Ciało pierwszego opada na zachód, drugiego na wschód. Taki pomnik Matki Polki powinien stanąć w Poznaniu. Byłby równie wymowny. W Wilnie lub we Lwowie powinien stanąć drugi pomnik Matki Polki, której synowie zostali siłą wcieleni do armii sowieckiej. To szczególnie paradoks historii. Przed rokiem gazety na Pomorzu pisały o tym, że konsul rosyjski odznaczył w Słupsku obywateli polskich, w czasie wojny żołnierzy armii sowieckiej, rosyjskimi medalami. Uznano, że popełniono *faux pas*. Nie dlatego wszakże, że w ogóle ich odznaczył, lecz dlatego, że wszystko się odbyło bez udziału przedstawiciela polskich władz. Wyobraźmy sobie, że konsul niemiecki odznacza w Opolu grupę obywateli polskich, w czasie wojny żołnierzy Wehrmachtu, walczących na froncie wschodnim z bolszewikami, którzy we wrześniu 1939 r. napadli bez wypowiedzenia wojny na Polskę. To by dopiero było! A przecież sytuacja jest analogiczna: chodzi o agresorów i organizatorów planowanej (wspólnie!) eksterminacji narodu polskiego, zwłaszcza polskiej inteligencji.



Francuzi ze środowiska „Malgré-nous” („wbrew naszej woli”) często podkreślają wspólnotę losu z Polakami wcielonymi do Wehrmachtu, ponieważ w czasie wojny wielokrotnie się z nimi zetknęli. Młodzi Polacy z kresów zachodnich, urodzeni w latach 1920–1927, mieli w czasie wojny szczególnie silne poczucie rozdarcia, tragedii. Przez tragedię rozumiem brak dobrego wyjścia z sytuacji, kiedy każdy wybór powoduje zło, krzywdę. Znamy przypadki dezercji z Wehrmachtu, których następstwem było skierowanie całej rodziny „zdrajcy” do obozu. Młodzi ludzie uformowani patriotycznie w przedwojennej szkole – na przykładach lwowskich orląt, bohaterów spod Rokitny, Zadwórza, wojny z bolszewikami – we wrześniu 1939 r. w większości jeszcze niepełnoletni, gotowi byli walczyć, konspirować, przekonani, że zwycięstwo jest tylko kwestią tygodni, może miesięcy. I oto gdzieś w roku 1943 czy 1944 dają im mundur Reichsarbeitsdienst, potem Wehrmachtu. Ich rodzice, w szalonym lęku o dzieci, podpisali Volkslistę. To nie był Kraków ani Warszawa. Tam podpis był dobrowolnym wyborem, a w konsekwencji aktem zdrady wobec państwa polskiego. Tu, na terenach wcielonych, na terenie Deutsches Reich, niepodpisanie listy było aktem heroicznym. Potem był obóz lub, w najlepszym przypadku, los obywateli trzeciej kategorii. Ale podpis ze względu na dobro dzieci po kilku latach powracał rykoszetem, gdy z dzieci wyrastali młodzi „Niemcy” podlegający poborowi. Krąg się zamykał. Przejście na drugą stronę frontu trzeba było tak zaplanować, by nie dać się zabić i by wyglądało to na „zagubienie”, a nie ucieczkę. Najłatwiej to było zrobić w ostatnich miesiącach wojny na Zachodzie. A potem żyć, słuchając przez całe lata szyderczych uwag: dlaczego tak późno?

Służącym w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie byłym żołnierzom Wehrmachtu zmieniano dane osobowe, by nie zostali rozstrzelani jako dezercy w przypadku dostania

się do niewoli niemieckiej. Chodziło też o losy ich najbliższych w okupowanym kraju. Norbert Warduleński przed wyjazdem do Wehrmachtu we Francji uprzedził rodziców, że przy pierwszej sposobności zdezerteruje do aliantów, i tak zrobił. Rodzice otrzymali oficjalne powiadomienie o zaginięciu syna, a potem byli inwigilowani przez gestapo, więc na wszelki wypadek matka przywdziała żałobę i dała na Mszę św.

Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie – mimo ciężkich strat na polach bitew – ciągle zwiększały swoje stany. Podobno wśród żołnierzy, którzy zdobywali Bolonię, przeważali uciekinierzy z ziem wcielonych do Rzeszy.

Wehrmacht dla wszystkich

W liczącym 4917 osób mieście Kartuzy na Kaszubach mieszkało 4641 Polaków, 256 Niemców i 19 Żydów. Po wybuchu wojny zaczęto osiedlać tu Niemców z Rzeszy, z byłego Wolnego Miasta Gdańska, z państw bałtyckich, z Wołynia i z Besarabii. Na niewiele się to zdało, Niemcy stanowili ciągle mniej niż 10 proc. ludności. By przyspieszyć zaplanowany proces niemczenia, posłużono się Niemiecką Listą Narodową (*Deutsche Volksliste – DVL*). Wprowadzono ją 4 marca 1941 r. Kategorie „Niemców” były bardzo zróżnicowane pod względem przysługujących praw. Nawet dowody osobiste różniły się kolorami. IV grupa DVL obejmowała osoby „niepewne”, nieukrywające swej przynależności do narodu polskiego. Wydawano tym osobom dowody tożsamości koloru czerwonego. Posiadacze grup III i IV mieli mocno ograniczone prawa. Jedyne obowiązki dla wszystkich grup były podobne. Była to przede wszystkim służba w wojsku i w formacjach pomocniczych.

Na Monte Cassino...

Lucjan Balewski z Poznania opowiedział mi następującą, pouczającą historię: „Mówiłem kiedyś znajomemu o swoich wrażeniach z pobytu na cmentarzu żołnierzy polskich na Monte Cassino. Na to mój rozmówca: »Ja też chciałbym tam pojechać i odwiedzić cmentarz na Monte Cassino. Niemiecki... Tam leży mój kuzyn, który zginął podczas nieudanej próby przejścia przez linię frontu do polskiego oddziału«. W czasie wojny niemiecki nauczyciel powiedział mojej siostrze: »losy ludności pogranicza są ciężkie«. Po powrocie do Starogardu, w sierpniu 1945 r., poszedłem na Francuską Górę, leżałem na trawie i byłem szczęśliwy, że wojny już nie ma, a granice od nas tak daleko, że już nikt nie powie mi, że skoro pochodzę z Pomorza, to pewno jestem Niemcem”.

Casus Zygmunt

Miał lat 17, gdy wybuchła wojna. Harcerz, syn nauczyciela z Barłóżna na Pomorzu Gdańskim. Wychowany był w duchu patriotycznym, w gimnazjum nazywano go „Cyceronem” – z powodu sugestywnych recytacji podczas akademii szkolnych. Wstąpił do Sodalicii Mariańskiej, odbył kurs formacyjny. Latem 1941 r. Zygmunt Grochocki został zaprzysiężony w konspiracyjnej organizacji „Jaszczurka”, założonej przez jego kolegów gimnazjalnych. W okresie przymusowej akcji wpisywania ludności polskiej Pomorza na Niemiecką Listę Narodową wiosną 1942 r., został zaliczony do III grupy i w lipcu 1942 r. wcielony do Wehrmachtu. Tu natychmiast, w ekstremalnie niebezpiecznych warunkach, rozpoczął agitację wśród Polaków, żołnierzy Wehrmachtu. Jeszcze jako żołnierz garnizonu malborskiego przyjął przysięgę na wierność Polsce od 10 kolegów z jednostki. Potem trafił do Holandii i do Francji.

Jako żołnierz 108. pułku grenadierów nawiązał kontakt z francuskim ruchem oporu. Był zbyt młody, zabrakło mu doświadczenia konspiracyjnego, nie zachował niezbędnych środków ostrożności. Aresztowany i skazany na śmierć za „zdradę kraju” [!]. Egzekucja odbyła się 20 marca 1943 r. w Nantes. W chwili śmierci miał niespełna 21 lat. Trzy siostry Zygmunta Niemcy wysłali do obozu koncentracyjnego. Była to kara za działalność brata.

Władek

Na terenie okupowanej Francji Władysław Lenz uciekł z Wehrmachtu i wstąpił w lipcu 1944 r. do oddziału partyzanckiego, którym dowodził przerzucony z Londynu, urodzony w Skorzewie na Kaszubach płk Antoni Zdrojewski. Walczył m.in. w Górnej Sabaudii w składzie kompanii, która brała udział w zdobywaniu Thonon i tunelu Le Madeleine oraz przy wyzwaniu St. Michel i St. Martin de la Porte. W połowie listopada 1944 r., zgodnie z rozkazem z Londynu, 620 partyzantów polskich z tego rejonu przetransportowano do Włoch, jako uzupełnienie jednostek II Korpusu gen. Władysława Andersa, wykrwawionych w bitwie o Monte Cassino i Ankonę. Władysława Lenza przydzielono do 9. Batalionu 3. Dywizji Strzelców Karpackich. We Włoszech przeszli szlak bojowy, począwszy od ciężkich walk o przełamanie Linii Gotów nad rzeką Senio oraz walk o Bolonię, do której ze swym batalionem wkroczyli jako pierwsi, wywieszając polską flagę. Tu 9. Batalionowi władze miasta nadały honorową nazwę 9. Boloński Batalion 3. DSK. Władek wrócił do kraju w roku 1947.

Alek

Latem 1944 r. w południowej Francji żołnierz Wehrmachtu Alfons Jabłoński, wraz z paroma kolegami, ucieka do partyzantki francuskiej. Francuzi pomagają mu w przedostaniu się drogą morską do Włoch, do II Korpusu gen. Andersa. Po krótkim, intensywnym przeszkoleniu pełnił niebezpieczną służbę w kompanii saperów 2. Brygady Pancerniej. Przeszedł ciężki dla saperów szlak bojowy II Korpusu od Ankony do Bolonii. Brał udział w specjalnej, nocnej ofensywie pod Bolonią, kiedy w szturmie polskich oddziałów użyto silnych reflektorów przeciwlotniczych, żeby przeszkodzić Niemcom w prowadzeniu skutecznego ognia i uniknąć dużych strat.

Paweł

Kiedy policjant z Schupo uderzył go na ulicy kolbą, oddał mu ciosem w głowę i uciekł. Został aresztowany i po kilku dniach wywieziony na roboty do stoczni w Elblągu. Pod koniec 1943 r. Pawła Rychlickiego wcielono do Wehrmachtu. Na terenie okupowanej Jugosławii uciekł do partyzantów. Z Jugosławii dostaje się do Włoch, a już 12 maja 1944 r. wstępuje do Wojska Polskiego, z przydziałem najpierw do 7. Batalionu Strzelców Karpackich II Korpusu. Od 5 sierpnia bierze udział w walkach frontowych 12. Pułku Ułanów Podolskich, w jednostce pancerniej rozpoznania dywizji. W jednej z cięższych walk nad Adriatykiem od kuli niemieckiego snajpera zostaje ciężko ranny w twarz. Po wyleczeniu przydzielony 15 stycznia 1945 r. do Pułku Ułanów Lubelskich. Awansowany na dowódcę wozu pancernego. 27 marca 1947 r. Rychlicki powrócił do kraju.

Franek

W marcu 1945 r. udało mu się przejść do Anglików. Wcielony do 1. Dywizji Pancerniej, gdzie został kierowcą samochodowym i pancernym. Gdy wojna się skończyła, pozostał w ośrodku szkolenia w Szkocji, gdzie cały wolny czas poświęcał na uprawianie sportu, głów-

nie piłki nożnej i boks. W roku 1946 Franciszek Rohde został bokserskim mistrzem Szkocji w wadze lekkiej! Latem 1947 r. wrócił do kraju.

Janek

Przed wojną był harcerzem. Mimo niemieckiego nazwiska, często występującego na Pomorzu, Janek Klein czuł się Polakiem. Był wychowany w patriotycznej atmosferze, którą tworzyła szkoła i opowieści ojca – szewca z Gniewa, weterana wojny z bolszewikami 1919–1920 r.

ZAŚWIADCZENIE
ważne do dnia 31.XII.1938 r.

Imię Jan
nazwisko Klein
ur. dn. 13 mies. lipca roku 1927
w Gniewie powiatu toszwickiego

JEST HARCERZEM
Wstąpił do Związku Harcerstwa Polskiego
dn. 3 mies. września roku 1937 do drużyny
im. St. Sębrovskiego - Gniewie
Złożył przyrzeczenie harcerskie dn. 3
mies. grudnia roku 1938 na
ręce Siegmüllera pkm
Otrzymał krzyż harcerski L. 926 serja 3

(podpis drużynowego)

(Komendant Harcówki Hufca)

dn. 20 mies. stycznia 1939 r.

i uczestnika III powstania śląskiego. Miał 12 lat, kiedy wybuchła wojna. Rodzice, ze względu na dobro dzieci, zdecydowali się podpisać DVL, otrzymali III grupę. Młodsza siostra Janka, Celina, zapamiętała ten dzień bardzo dobrze: „Po powrocie z urzędu cały dzień przepłakali. Wiem, że zrobili to dla nas. Znałam przypadki wysyłania całych rodzin do obozu w Potulicach za odmowę podpisania listy”. Potulice były filią KL Stutthof. Tam ludzie umierali. Na decyzję Kleinów miały wpływ narady z sąsiadami, tak jak oni Polakami, którzy uważali, że wojna i tak szybko się skończy, a zanim się skończy, będzie można jeszcze niejedną raz pokazać, kim się jest naprawdę. Teraz najważniejsze to chronić rodziny przed represjami.

Kiedy Janek ukończył 17 lat, trafił do *Reichsarbeitsdienst*, wojskowej formacji pomocniczej. Na zdjęciu z tego czasu widać młodych Polaków z Gniewa w mundurach RAD. Chłopcy w pierwszym szeregu mają nisko opuszczone głowy. Niektórzy w drugim szeregu uśmiechają się szyderczo. Na swój sposób reagują na sytuację, której by się nigdy wcześniej nie spodziewali. Janek stoi ze spuszczoną głową, mundur umyślnie zapiął krzywo, by zademonstrować

swój sprzeciw. Jakiś czas potem jeden z tych chłopców zbiegł z RAD. Podobno marzył o wojsku polskim na Zachodzie. Janek został oskarżony o pomoc w ucieczce i natychmiast trafił do Wehrmachtu. Był listopad 1944 r. 17-letni wrażliwy chłopiec przeżył jeszcze tylko dwa miesiące. Pod koniec stycznia trafił do sowieckiej niewoli, gdzieś pod Głogowem. Niko-go tam nie obchodziło, że był Polakiem, dzieckiem jeszcze! Nie wiadomo, jak umarł lub jak został zamordowany. W lutym ślad się urywa, poszukiwania nie dały żadnego rezultatu.

Przez te dwa miesiące Janek wysłał do swoich bliskich w Gniewie ponad 50 wzruszających listów i kartek, które czekają dziś na wydawcę. Ostatnią – 18 stycznia 1945 r. z Brandenburgii. Pisał prawie każdego dnia, czasem dwa razy dziennie! Mimo wojskowej cenzury potrafił w tych listach przekazać nie tylko wielką miłość do rodziny i miejsca urodzenia, ale także refleksje dotyczące swego tragicznego położenia i swoich prawdziwych uczuć. Listy pełne są troski o matkę, o ojca, który też został powołany do Wehrmachtu, zawierają serdeczne pozdrowienia dla wszystkich sąsiadów, których Janek zapamiętał. Zachowały się też listy matki do syna, z wy-



Janek Klein – pierwszy z lewej

razami gorącej miłości, pamięci, słowami modlitwy, oraz listy ojca z frontu do młodszych sióstr Janka. 29 października 1944 r. ojciec pisał z Meerane: „Kochane dzieci. Nie opuszczajcie się w modlitwie. Módlcie się, by dobry Bóg przyprowadził do domu zarówno Waszego tatusia, jak i brata”. Dzień wcześniej Janek pisał do sióstr z Laar: „Dziś w nocy stałem na warcie. Była ciemna noc i mżył drobny deszcz. Przed południem niebo się przejaśniło i zrobiła się piękna pogoda. Czy tak kiedyś i z niepogodą wojny się stanie? Tutaj bezchmurne niebo nas nie cieszy, bo wtedy nadlatują samoloty. Mam nadzieję, że Wy teraz w domu nie doznajecie żadnego zła. Siedzę i myślę o Was, o Tacie i o Mamie. Patrzę na podwórze. Jakaś kura stoi kilka kroków przede mną. Nie przejmuję się wcale, że niedaleko stąd strzela artyleria, że milę stąd przebiega front. Podmucha jesienny unosi mi kartkę, na której piszę, jak gdyby chciał powiedzieć: tu wieje inny wiatr...”

Antek

We wrześniu 1939 r. miał 13 lat. Był harcerzem i uważał, że świetnie nadawałby się na zwiadowcę, znał przecież alfabet Morse’a... Ponieważ mimo to nie chcieli go do wojska, w pierwszych dniach września 1939 r. Antek Górski założył – razem z kolegami Stachem i Witkiem – harcerski Tajny Związek Młodych Lwów. Wstrząsającym przeżyciem była dla chłopców wiadomość o zamordowaniu w podmiejskim lesie ich starszego druha z ZHP, Józefa Grzybka. Zebrali się w pokoju Antka, na strychu. Stolik nakryli białą-czerwoną flagą. Na stoliku położyli książeczkę do nabożeństwa, krzyż harcerski, na środku ustawili krzyż. Odnowili przyrzeczenie harcerskie: „Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim, być posłusznym prawu harcerskiemu”. Do tych słów dodali o siebie: „i bronić Ojczyzny do ostatniej kropli krwi. Tak nam dopomóż Bóg”.

Jedną z pierwszych akcji zastępu było fotografowanie miejsca masowych zbrodni w Lesie Szpęgawskim pod Starogardem. Cud, że nie zostali aresztowani.

W 1944 r. Antek dostał powołanie do Wehrmachtu. Pierwszą myślą była ucieczka do lasu. Był już umówiony z innymi chłopakami, którzy też otrzymali powołanie. Potem przyszła refleksja: a co z rodzinami? Pocięchą był *Konrad Wallenrod*, którego czytali w ramach latającej polskiej biblioteczki. Przecież Niemcom można szkodzić, będąc wśród nich.

Na peronie prócz zapłakanych rodzin byli SS-mani, SA-mani, Schupo i tajniacy. Ale oni podlegali już wojsku i nie bali się mówić po polsku. Pociąg powoli ruszył. Najpierw była cisza, lecz po chwili cały pociąg, od pierwszego do ostatniego wagonu, śpiewał *Boże, coś Polskę...*

Dopiero pod koniec wojny nadarzyła się Antkowi okazja ucieczki. Oderwał się od oddziału i dał się „aresztować” włoskim partyzantom. Dołączyli inni Polacy. Byli ciągle w niemieckich mundurach, więc zdobyli gdzieś trochę białego i czerwonego fiszbinu i tak jak umieli, ponaszali na mundurach polskie barwy narodowe. Niebawem zostali zatrzymani przez Amerykanów i odstawieni do Livorno, potem do Iolandy, gdzie był przejściowy obóz dla Polaków z niemieckiego wojska. „Do rozpaczki doprowadziła nas wiadomość o zakończeniu wojny. Przecież chcieliśmy się Niemcom odplacić. Niektórzy z nas dostali ataku hysterii. Pocięszano nas, że przecież uderzymy jeszcze na Japonię” – wspominał po latach Antoni Górski.

„Niemcy” prowadzą Niemców...

Przed śmiercią Antoni Górski spisał wspomnienia swoich kolegów, polskich „Malgré-nous”. Oto niektóre z nich.

„Nasze pozycje były na wysokiej górze. Ktoś nas zdradził. Niemcy okrążyli górę i zaczęli atakować. Broniliśmy się, ale oni byli silniejsi. Nie myśleliśmy o poddaniu. Przecież byliśmy uciekinierami. Rozstrzelano by nas, a nasze rodziny byłyby prześladowane. Nie lepsza była sytuacja włoskich partyzantów. W decydującym momencie ich dowódca zastrzelił swoją żonę, synka i siebie. Inni partyzanci też odbierali sobie życie. Nas, Polaków, było tylko dwóch. Co robić? Niemcy atakowali górę z trzech stron. Z jednej strony było strome zbocze, nie do przejścia. Był tam zamrznięty strumyk czy wodospad. Postanowiliśmy tym wodospadem zjechać w dół. Okutaliśmy się w różne ciuchy i płótna namiotowe, co było pod ręką. Ledwo poruszając się, zeszliliśmy niżej, by się ześlizgnąć. Z duszą na ramieniu skoczyliśmy w dół. Objąłem się o różne występy. Wreszcie poczułem straszny ból w nodze i straciłem przytomność. Kolega też zemdał, lecz pierwszy się ocknął. Chociaż strasznie potłuczony, nie miał poważniejszych obrażeń. Ja miałem złamaną nogę. Ukrył mnie półprzytomnego w głębokiej niszy i poszedł po pomoc. Byłem tak grubo ubrany, że nie odczuwałem zimna, ale co chwilę traciłem przytomność. Pomoc nadeszła na drugi dzień. Przetransportowano mnie do jakiejś wioski w górach. Tam na strychu leżał już mój kolega. Mimo opuchlizny zestawiono mi nogę na żywca, z bólu znowu zemdałem. Moim „lekarzem” był człowiek zwany Mani Padre. Po odzyskaniu przytomności napojono mnie i nakarmiono. Ci włoscy górale nie bali się Niemców tak jak Włosi z nizin. Mówili też niezłe po niemiecku. Zresztą, byli sąsiadami Tyrolczyków”.

„To było we Francji. W kilku postanowiliśmy uciec z niemieckiego wojska. Wiedzieliśmy, że u podnóża góry jest zgrupowanie partyzantów. Kiedyś, pełniąc wartę, umówiliśmy się, że przejdziemy do nich. Tak też zrobiliśmy. Francuzi natychmiast nas wykorzystali jako przewodników. Po akcji, zamiast skierować nas do polskich oddziałów, wzięli nas... do niewoli, razem z Niemcami. Na szczęście jakiś niemiecki lekarz przekazał list do konsulatu polskiego. Tymczasem Niemcy chcieli Polaków zlinczować. Trzymaliśmy się razem, żeby się obronić. List dotarł i przysłano polskiego oficera. Byliśmy uratowani”.

„Paweł miał kontakty z francuskim ruchem oporu. Był wśród Francuzów jakiś zdrajca lub specjalnie nasłany przez Niemców szpieg. Niemcom chodziło o listę tych, którzy należeli do organizacji. Okrążyli budynki w kwadracie czterech ulic, gdzie był lokal konspiracyjny. Do obstawy wykorzystano również Polaków. Z bramy, przy której stali Polacy, wyszła jakaś starszuszka przy kijku, ze starą torbą. Paweł natychmiast ją rozpoznał. Była to przebrana młoda dziewczyna, która pracowała dla ruchu oporu. Znała Pawła i dlatego poszła w kierunku Polaków, co ją uratowało. Wyniosła to, czego Niemcy szukali”.

„Byliśmy na froncie, na wysuniętym punkcie. Kolega też Polak. Mimo zakazu paliliśmy papierosy. Naraz patrzmy, a obok nas czołgają się amerykańscy zwiadowcy. W ciemności nie widzieliśmy dokładnie, ilu ich było. Zaryzykowałem i zawałęm: »Ami, I am Polish, go to me!« Zamarli w bezruchu. Za chwilę jeden z nich odezwał się... po polsku! »Polacy!? Let us go!«. Przesunęli się w naszym kierunku. Polak wysunął się naprzód. Chwilę z nami rozmawiał i nadał coś przez radio. Później wypytał mnie o niemieckie posterunki. Wróciliśmy wspólnie do naszego bunkra. Wszedłem pierwszy, zapaliłem świeczkę i zebrałem całą broń. Nawet pas dowódcy, który z kaburą i pistoletem leżał na stole. Wszyscy twardo spali. Tylko jeden mamrotał coś przez sen o zgaszeniu świeczki. Amerykanie weszli do środka. Dowódca, *Unteroffizier*, poddał się. Wyszedłem na zewnątrz, a tam pełno Amerykanów. Przeszli tym

Monument na placu Republiki w Strasburgu

Inicjatorem jego postawienia był Henry Lévy (1871–1937), wybitny obywatel Strasburga, który swój plan wzniesienia pomnika ku czci poległych w wojnie światowej zrealizował dopiero na rok przed śmiercią. Niezbędne środki finansowe (185 tys. franków) zebrano szybko, a twórcą monumentu został rzeźbiarz Léon-Ernest Drivier (1878–1951), który od 1907 r. praktykował u wielkiego Augusta Rodina.

Dzieło pokazuje alegorię Matki Alzacki, trzymającej na kolanach dwóch umierających synów. Jeden patrzy w stronę Francji, drugi w stronę Niemiec. Padli po walce jednego przeciwko drugiemu, ale w chwili śmierci podają sobie dłonie. Odarte z uniformów ciała czynią dramat Strasburga i Alzacji jeszcze bardziej przejmującym.

Pomnik odsłonięto w niedzielę 18 października 1936 r. w obecności Alberta Lebruna, prezydenta Francji. Przemówienie Henry Lévy'ego było poruszające: „Strasburg nie miał dotąd pomnika poległych na wojnie, których tyle jest nawet w najmniejszych miejscowościach we Francji, ale pamięć o poległych pozostawała u nas zawsze żywa, ponieważ poznaliśmy jedną z najbardziej bolesnych stron wojny, kiedy bracia, odseparowani od siebie aneksją 1871 r., przeciwstawiali się sobie i walczyli przeciwko sobie jak wrogowie. Cała tragedia maluje się na zbolącej twarzy pięknej kobiety, która symbolizuje nie tylko ojczyznę, lecz także umęczoną ludzkość, przyjmującą ciała dwóch umierających wojowników, poległych pod dwoma sztandarami. Niech każdy odczuje głębokie przesłanie tego pomnika”.

Po II wojnie światowej monument nabrał nowej treści, związanej z przymusową służbą Alzactczyków i Lotaryńczyków w Wehrmachcie. Wymowną, współczesną interpretację tej alegorii dał przed rokiem Simon Welch. Wykorzystał monument w swojej instalacji artystycznej. Matka Alzatka znajduje się na rondzie, w otoczeniu parku, w samym sercu placu Republiki. Ruch okrężny wokół tego ronda oddaje symbolicznie cyrkulację historyczną Alzacji pomiędzy Francją i Niemcami, a także wzajemnych stosunków tych dwóch państw. Obrazuje też pogmatwaną tożsamość mieszkańców regionu i wynikającą z niej wojenną tragedię.

przesmykiem, którym czołgali się zwiadowcy. Ja wchodziłem jeszcze do innych bunkrów, razem z kolegami Polakami. Później zlikwidowaliśmy jeszcze tzw. punkty wysunięte. Raz tylko bym oberwał, gdyby nie kolega, który strzelił pierwszy. Najciekawsze nastąpiło później. Niemców ustawiono w kolumnę, a nas z karabinami, w niemieckich mundurach, na przemian z Amerykanami, dali jako eskortę. Dziwnie to wyglądało, bo »Niemcy« prowadzili Niemców. Nie wszyscy przecież wiedzieli, że pod niemieckim mundurem bije polskie serce...”

Nie tylko Wehrmacht

Niewiele lepsza była sytuacja młodych Polaków, zaciągniętych wbrew swojej woli do różnych formacji parawojkowych, typu *Arbeitsdienst*, *Arbeitskolonne*, *Baukolonne* etc. Oni również podlegali rygorom wojskowym i również dezercerowali, gdy była okazja.

Staszek Mazurowski, przed wojną czołowy skoczek wzwyż na Pomorzu, został w 1943 r. wcielony przymusowo do kolumny roboczej *Arbeitskolonne*. Podczas robót fortyfikacyjnych

„Malgré-nous”

Podobny Pomorzanom, Wielkopolanom i Ślązakom los spotkał Alzaczyków i Lotaryńczyków, których kraj został anektowany przez Rzeszę 30 listopada 1940 r. Niemcy powołali ich przymusowo do Wehrmachtu na podstawie dekretu gauleitera Roberta Wagnera z 25 sierpnia 1942 r. Liczne były ucieczki do okupowanej zony francuskiej i do Szwajcarii. Reakcja Niemców była w takich przypadkach bezwzględna. W pewnej wsi 19 uciekinierów do Szwajcarii zostało przez żandarmów zatrzymanych i rozstrzelanych, ich ciała tego samego dnia wydano rodzinom.

Większość poborowych wcielono do Wehrmachtu i wysłano na front wschodni, około 2 tys. służyło w SS. W sumie pod niemieckie sztandary powołano około 130 tys. Alzaczyków i Lotaryńczyków. Straty tych „Malgré-nous” były ciężkie: około 32 tys. zabitych, około 10,5 tys. zaginionych, około 32 tys. rannych, w tym około 10 tys. ciężko rannych. W obozach sowieckich przebywało 23 136 jeńców wojennych z Francji, przeważnie Alzaczyków i Lotaryńczyków. Większość znalazła się w obozie w Tambowie. Rosjanie nie mieli dla nich litości. Wielu zmarło w niewoli. Śmiertelność jeńców Francuzów wynosiła 5,7 proc., Holendrów – 4,2 proc., Luksemburczyków – 5,6 proc., Jugosłowian – 6,2 proc., Duńczyków – 7,7 proc., Belgów – 8,8 proc. Mimo wszystko była znacznie niższa od śmiertelności wśród Niemców – 15 proc., Rumunów – 29,1 proc. i Włochów – 56 proc. (!). Warunki pobytu w sowieckich obozach (mieszkanie w ziemiankach, jedzenie o wartości 1130 kalorii, ciężka praca w lesie i przy budowie tam, 25 proc. chorujących na tyfus, 15 proc. na gruźlicę) sprawiły, że przeciętny Francuz, powracający z sowieckiej niewoli, ważył 42 kg.

Po powrocie do domów byli żołnierze Wehrmachtu spotkali się z szykanami ze strony wielu rodaków, dla których stali się ludźmi podejrzanymi. Narazili się też członkom Francuskiej Partii Komunistycznej, bo mówili prawdę o nieludzkich cierpieniach jeńców w obozach sowieckich, co nie było wówczas *trendy* w kraju, którego inteligencja była zafascynowana dokonaniem Stalina i jego zbirów.

Beutegermannen lub **Beutekameraden** (niem. *Beute* – łup, zdobycz) – tak w żargonie Wehrmachtu nazywano nieniemieckich, przymusowo rekrutowanych żołnierzy z terenów anektowanych przez Rzeszę.

Oprac. Lucjan Balewski

Źródło: G. Moullec, *Les Prisonniers de guerre français dans les camps russes; De la Wehrmacht aux camps soviétiques. La tragédie des malgré-nous*, „L’Histoire” 2001, nr 255. Zob. także: J. Rutkiewicz, *Francuzi z Hitlerem w tle* [w:] Ch. de la Mazière, *Marzyciel w hełmie*, Warszawa 2005 (wspomnienia dziennikarza kolaboracyjnej gazety „Pays Libre”, ochotnika w 33. Dywizji Grenadierów SS „Charlemagne”); J. Gdański, *Zapomniani żołnierze Hitlera*, Warszawa 2005.

we Włoszech, w czerwcu 1944 r., uciekł do Amerykanów. Potem ochotniczo zgłosił się do II Korpusu gen. Andersa. Został przydzielony do 2. Brygady Pancernej, gdzie ukończył krótki kurs podoficerski. Ponieważ miał maturę, skierowano go do szkoły podchorążych. Po jej ukończeniu został instruktorem kadry w Centrum Wyszkożenia II Korpusu, gdzie przygoto-

wywał kadre podoficerską dla 3. Karpackiej Dywizji Strzelców i 5. Kresowej Dywizji Piechoty. W czerwcu 1947 r. powrócił do kraju.

Zygmunt Lotterhoff „Zyga” był żołnierzem słynnego 2. Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich. Po powrocie z niewoli został przymusowo wcielony do brygad budowlanych. W 1943 r. znalazł się we Włoszech. Uciekł do partyzantów, którzy pomogli mu dotrzeć do II Korpusu Polskiego gen. Andersa. Bojąc się o rodzinę w kraju, przybrał nazwisko Lokowski. Otrzymał przydział do 3. Dywizji Strzelców Karpackich. Brał udział w ciężkich walkach o Ankonę i w całym wyzwolonym szlaku bojowym, aż do zdobycia Bolonii. W 1947 r. wrócił do kraju.

Czesław Goryński został zabrany na roboty przymusowe do francuskiej kopalni. Uciekł stamtąd z dwoma Polakami i pod Calais dostał się do armii amerykańskiej, gdzie zgłosił się do I Korpusu gen. Maczka. Walczył w 1. Dywizji Pancerniej oraz w 16. Samodzielnej Brygadzie Pancerniej na terenie Holandii. Już 5 maja 1946 r. jako żołnierz z bronią wrócił do kraju. Tu tak jak i inni koledzy, musiał się regularnie meldować w UB.

Leon Olszewski został wcielony do brygady budowlanej, w 1944 r. znalazł się we Włoszech, skąd w maju uciekł do Amerykanów. Początkowo był w sztabie amerykańskim tłumaczem polsko-angielsko-niemieckim. Następnie walczył w 2. Brygadzie Pancerniej. Po zdobyciu Bolonii skierowany do podchorążówki na południu Włoch. Przeniesiony w 1946 r. do Anglii, gdzie podjął naukę i został technikiem dentystycznym. Ożenił się i pozostał w Anglii do śmierci.

* * *

Ci, którzy znaleźli się na froncie wschodnim, też niejednokrotnie planowali ucieczkę z Wehrmachtu do Rosjan. Zachowało się jednak niewiele relacji na ten temat. Czy dlatego, że były to nie tak liczne przypadki jak na Zachodzie? A może ci, którzy przeszli, nie mogli już nikomu nic więcej powiedzieć? Skoro Sowieci nie ufali nawet własnym żołnierzom i dla dodania im „odwagi” na froncie strzelali do wycofujących się podczas ataków, to jaką wartość mogło mieć dla nich życie jakiegoś podejrzanego „Niemca”? Wszak „u nas mnogo ludiej”...

Jerzy Hoppe ze Starogardu Gdańskiego dokumentuje losy sportowców z tego powiatu podczas wojny. Udało mu się zebrać liczne informacje na temat tych, którzy zdezerterowali z Wehrmachtu do aliantów. Relacje dotyczące losów ich kolegów na froncie wschodnim są nieliczne i niekompletne. „Na wschodzie rozgrywały się prawdziwe dramaty. Nie wystarczyło zdezerterować z Wehrmachtu, trzeba jeszcze było stanąć przed cynicznym sowieckim politrukiem, dla którego życie ludzkie niewiele znaczyło. Pod Stalingradem na stronę rosyjską przeszedł ciężko ranny Jan Rychlicki (ojciec Teresy Kasprzyk, wielokrotnej reprezentantki Polski w siatkówce), jednak nie uznano go za Polaka, choć było to tak bardzo oczywiste. Trafił do obozu jenieckiego pod Uralem, razem z Niemcami, gdzie w skrajnie trudnych warunkach cudem przeżył. Jego dramatyczne losy to temat na osobną książkę”.

Nie tylko losy Rychlickiego mogłyby posłużyć za kanwę pasjonującej i pouczającej książki. Na wydanie czekają listy Janka Kleina i nieopublikowane, a czasami po prostu jeszcze niezbrane relacje. Czas najwyższy to zrobić, by Matka Polka nie musiała się wstydzić przed Matką Alzatką.

Współpraca: Lucjan Balewski (Poznań), Celina Czudek (Gdynia)
i Jerzy Hoppe (Starogard Gdański)

Brygady międzynarodowe Adolfa Hitlera

Niezależnie od przymusowej mobilizacji prowadzonej na terenach przyłączonych do Trzeciej Rzeszy, do armii niemieckiej, Waffen SS i formacji pomocniczych zgłosiło się w czasie II wojny według ostrożnych szacunków 2–2,5 mln ochotników. Większość pochodziła z okupowanych terenów Europy, azjatyckiej części ZSRS, krajów arabskich, Indii, było też kilkudziesięciu Koreańczyków, Chińczyków i Wietnamczyków. Różniła ich motywacja: wielu było przekonanymi narodowymi socjalistami lub Volksdeuschami, którzy pragnęli uczestniczyć w tworzeniu „Wielkich Niemiec”, część to oportuniści wierzący w zwycięstwo Hitlera i chcący swoim udziałem zapewnić ojczyźnie miejsce w ramach „Nowego Porządku Europejskiego”. Arabscy i hinduscy nacjonałiści liczyli, że walka u boku Niemców przyczyni się do oswobodzenia ich krajów spod dominacji brytyjskiej, wielu ideowych antykomunistów i przedstawicieli narodów ujarzmionych przez ZSRS skorzystało zaś z niemieckiej oferty uczestniczenia w „krucjacie antybolszewickiej”.

Najliczniejszą wszakże grupę stanowili wzięci do niewoli żołnierze sowieccy, którzy wstępowali do tworzonych przez Niemców formacji, szukając ucieczki przed głodem i nieludzkimi warunkami panującymi w obozach jenieckich. Nie zabrakło też poszukiwaczy przygód i zwykłych kryminalistów.

Wartość bojowa jednostek cudzoziemskich była zróżnicowana: część z nich zaliczano do elity niemieckiej armii (np. dywizja hiszpańska lub 5. Dywizja SS „Wiking”), większość jednak charakteryzowała się niskim poziomem wykształcenia i morale, a do tego zasłynęła zbrodniami wojennymi i okrucieństwami w stosunku do ludności cywilnej, np. oddziały ukraińskiej dywizji SS „Galizien” dopuszczały się zbrodni na Polakach w Małopolsce Wschodniej, formacje rosyjskie i muzułmańskie uczestniczące w pacyfikacji Powstania Warszawskiego masowo grabiły i mordowały ludność cywilną.

Największą grupę narodowościową w niemieckich siłach zbrojnych stanowili obywatele ZSRS: Rosjanie, których liczebność szacuje się na ok. 1 miliona (dołączyło też ok. 20 tys. rosyjskich emigrantów, głównie oficerów białej armii), Łotysze i Estończycy – odpowiednio 150 i 100 tys. (częściowo z poboru), Ukraińcy – 75 tys., Kozacy – 70 tys., Litwini – 50 tys., Białorusini – 15 tys. W następnej kolejności: Chorwaci (w tym bośniaccy muzułmanie) – 30 tys., Węgrzy – 20 tys., Serbowie – 15 tys., Albańczycy – 6,5 tys., Rumuni – 3,5 tys., Bułgarzy – ok. 600. Wśród mieszkańców Europy Zachodniej dominowali Holendrzy – 55 tys., a po nich Hiszpanie – 40 tys., Flamandowie – 23 tys., Duńczycy – 20 tys., Włosi (po kapitulacji w 1943 r.) – ok. 20 tys., Francuzi (bez poborowych z Alzacji i Lotaryngii) – ok. 15 tys., Norwegowie – ok. 15 tys., Walonowie – 15 tys., Luksemburczycy (nie licząc przymusowego poboru po 1942 r.) – 2 tys., Finowie – 2 tys., Szwajcarzy – ok. 700, Szwedzi – 300, Brytyjczycy – ok. 100. Wyjątkowo liczne były oddziały sformowane z przedstawicieli środkowoazjatyckiej części ZSRS i narodów Kaukazu: Uzbegy, Kazachowie i Turkmeni – 70 tys., Azerowie – 40 tys., Czeczeńcy, Abchazowie i inne narody Północnego Kaukazu – ok. 30 tys., Gruzini – 25 tys., Ormianie – 20 tys., Tatarzy nadwołżańscy – 12,5 tys., Tatarzy krymscy – 10 tys., Kałmucy – 7 tys. Ponadto w Wehrmachcie, a pod koniec wojny w Waffen SS, służyło 3,5 tys. Hindusów i ok. 5 tys. Arabów i mieszkańców Afryki Płn.

Powyższe, szacunkowe dane nie obejmują wojsk sojuszniczych Trzeciej Rzeszy i paramilitarnych formacji kolaboracyjnych.

Oprac. Wojciech Jerzy Muszyński